

Galaktyczny rozmach *DIUNY* połączony  
z epickim klimatem *Imienia wiatru*



CHRISTOPHER RUOCCHIO

# BEZKRESNA

POŻERACZ SŁONEC • TOM II

# CIEMNOŚĆ



**BEZKRESNA  
CIEMNOŚĆ**

W sprzedaży tego autora

**IMPERIUM CISZY**

**C H R I S T O P H E R R U O C C H I O**

# **BEZKRESNA CIEMNOŚĆ**

Przełożył Jerzy Moderski



Dom Wydawniczy REBIS

Tytuł oryginału  
*Howling Dark*

Copyright © 2019 by Christopher Ruocchio  
*All rights reserved*

Copyright © for the Polish edition by REBIS Publishing House Ltd.,  
Poznań 2020

Redaktor  
Weronika Kasprzak

Projekt serii i opracowanie graficzne okładki  
Krzysztof Rychter

Ilustracja na okładce  
Igor Morski

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując jej część, rób to jedynie na użytek osobisty. Szanujmy cudzą własność i prawo!

*Polska Izba Książki*

Więcej o prawie autorskim na [www.legalnakultura.pl](http://www.legalnakultura.pl)

Wydanie I  
Poznań 2022

ISBN 978-83-8188-403-7

Dom Wydawniczy REBIS Sp. z o.o.  
ul. Żmigrodzka 41/49, 60-171 Poznań  
tel. 61-867-47-08, 61-867-81-40  
e-mail: [rebis@rebis.com.pl](mailto:rebis@rebis.com.pl)  
[www.rebis.com.pl](http://www.rebis.com.pl)

*Moim rodzicom,  
Paulowi i Penny.  
Za to, że zawsze są obecni.  
Ze mną wszystko będzie dobrze.*





## PODZIĘKOWANIA

Cóż to był za rok! *Imperium ciszy*, po ukazaniu się latem 2018 roku, trafiło do rąk tysięcy czytelników, którym zawsze będę wdzięczny. Podczas gdy ostatnie podziękowania były przeznaczone dla osób, które przyczyniły się do publikacji tej książki – mojej rodziny, przyjaciół, agentów, dobrych ludzi z DAW Books oraz współpracowników z Baen, moich nauczycieli i wszystkich pozostałych – ta stronica jest dla ciebie i twoich bliskich, mój czytelniku. Bez was ten pierwszy tom gniłby na półkach jakiegoś magazynu, ja zaś byłbym zmuszony zająć się jakąś inną, uczciwą pracą. Pozwólcie, że podziękuję tym, którym nie miałem okazji podziękować w pierwszym tomie, bez zachowania szczególnej kolejności.

Przede wszystkim księgarzom! Tym z Quail Ridge Books w Raleigh – zwłaszcza Rene i Tomowi – oraz dobrym ludziom z Anderida Books w Anglii, za ich uprzejmość i wsparcie. Także Glennis z Missing Volume oraz Alexiemu z Bard's Tower, za ich przyjaźń i pomoc w poruszaniu się w labiryncie przyjętych konwencji.

Recenzentom! Petrosowi, Tracy, Emily, Grace, Nilsowi i innym z Unseen Library oraz wszystkim pozostałym. Jestem wzruszony, że wszystkim wam spodobała się tamta książka, i mam nadzieję, że i ta spełni wasze oczekiwania. Wspaniale było was poznać.

Czytelnikom! Wielu z was pisało do mnie online i zwykłą pocztą i choć nie zdołam tu wymienić wszystkich, to jestem wdzięczny każdemu z was. Davidowi K., T.J., Lenie, Alexowi i MaryAnn, również Luce z Włoch, Emilowi ze Szwecji oraz Nathanowi z Australii. I oczywiście wszystkim moim przyjaciołom online. Bez was bym tego nie dokonał.

Nowym przyjaciołom, których zyskałem (jeśli wolno mi tak powiedzieć). Niechaj Gerald Brandt, Ed Willett, EC Ambrose, Joshua Palmatier oraz Julie Czerneda przyjmą podziękowania za to, że nowe dziecko powitane w rodzinie DAW poczuło się w niej mile widziane. Także Dan Stout i Cass Morris, którzy wraz ze mną zostali jej nowymi dziećmi. Również moja rodzina w Baen: Weberowie, Drake'owie oraz Correiiowie (dzięki za ten szczególny dzień mojej największej sprzedaży, Larry!), Kacey Ezell,

Jody Lynn Nye, Mike Massa, Griffin Barber... i wszyscy. Także R.R. Vir-di i L.J. Hachmeister, za to, że byli tacy fajni. I rzecz jasna D.J. Butler, jeden z najwspanialszych i najszlachetniejszych ludzi w całej tej branży.

Na koniec zaś dziękuję Jennie, która w ciągu ostatniego półtora roku z mojej przyjaciółki stała się narzeczoną. Zawsze będę jej wdzięczny. Za wszystko. Kocham cię, najmilsza.

## CZERWONA KOMPANIA

Ciemność.

Zielone oczy patrzyły z ciemności jak oczy posągów we mgle. Czulem je w sobie, jak ciągnące mnie w górę haczyki na ryby. Czulem się źle. Było zimno. Obraz twarzy Bordelona na holografie – na chwilę przedtem, nim go unicestwiłem – wydawał się unosić w powietrzu. Nie był jedyny. Był tam też Gilliam, z wykrzywionymi ustami, z utrwalonym na nich szyderczym uśmiechem. I Uvanari. Mieszanina dźwięków wypełniła mój świat: krzyki umierających ludzi, owacje tłumów na Kolosso, dudniący odgłos tętnienia krwi w moich uszach.

Poznałem wtedy, że jestem już martwy, a cały ciężar tych odczuć był kosztem i brzemieniem powracającej świadomości. Bycia żywym. Żyłem więc. Znowu.

– Lordzie komendancie? – Znajomy głos o dziwnym akcencie zdradzającym język, którego nie mogłem sobie przypomnieć, jeśli w ogóle kiedyś go znałem. – Lordzie komendancie?

Oto byłem w piwnicy na Pharos, właśnie tak. Była tam ze mną kobieta, którą kochałem, o włosach ciemniejszych niż cień. Ukrywaliśmy się przed Bordelonem i Normanami po tym, jak sprzedali nas admirałowi Whentowi. Nie. To było przecież dawno temu i długo po wylocie z Emesh, ale mój zdezorientowany umysł wyczuwał jej zapach oraz woń płonącego drewna, przypominając mi jej ciepło i smak racji żywnościowych, którymi samotnie dzieliliśmy się w ciemnościach.

– Lordzie komendancie?

Mgła rozwiewała się, ustępowała w głąb historii. Wciąż słyszałem krzyki, łkania, i wiedziałem, że dobywają się ze mnie, z moich kości i czasu, abym poczuł i ujrzał koszmary mojej przeszłości, bo rozpoznanie ich znaczyło, że żyję. Twarde palce podarły mi ubranie tamtej nocy w Borosewie, ciało Kat zatone w kanałach... Nagle, tak ostro jak świeże doznania, wspomnienia wyszły ze mnie jak ulatujące w niebo wotywny lampiony. Sięgałem po nie, lecz moje członki były jak z ołowiu i nie

mogłem nimi poruszyć. Ciepło rozchodziło się w ciele, przeganiając ten pelagiczny chłód, który wypływał z moich ramion.

Krwawienie.

Leżałem w łóżku. Albo raczej w czymś do łóżka bardzo podobnym, a ktoś stał nade mną. Ujrzałem Tor Gibsona, a w moim delirium jego szare oczy były zielone – zielone jak jego szata – lwia grzywa i bokobrody zaś powiewały na wietrze wiejącym od wód Meidui.

– Martwy? – wychrypiałem, nie będąc pewien, czy mam na myśli jego czy siebie.

Stary scholiasta uśmiechnął się.

– Jeszcze nie. Na razie udało nam się tego uniknąć.

– Lordzie komendancie, leż spokojnie, proszę. – Ten dziwny głos. Znany. Wychodził z ust Gibsona, a przynajmniej tak mi się zdawało. – Nadal jest oślepy po fudze.

– Nie – zaprzeczyłem, wciąż patrząc na scholiastę. – Widzę... widzę Gibsona.

– Nie ma tu nikogo innego, tylko my! – Głos się przemieścił i dobiegał teraz z miejsca naprzeciwko scholiasty, ale on sam się nie poruszył.

Kiedy Gibson mówił, jego usta były nieruchome. *Aktor wie, że jest na scenie. Ale grana postać nie wie o istnieniu sceny.* Zabrzmiało to jak jeden z jego słynnych scholiastycznych aforyzmów, lecz zupełnie go nie pamiętałem.

Ogarniało mnie szaleństwo. Byłem w piwnicy na Pharos, a może było to wiele lat temu? Była tam ze mną, kiedy ścigali nas siepacze admirała Whenta, ale wyszliśmy z tego cało. A Gibson nie żył. I ja też nie żyłem – albo prawie. Zamrożony.

– Wiesz, gdzie jesteś?

Pytanie. Pytanie, które przemówiło do najstarszych, najbardziej ukrytych zakątków mego odkrywczego umysłu. *Wiesz, gdzie jesteś?*

I stało się tak, jakby uniosła się kurtyna, z kawałków zrodził się holograficzny obraz, mgła się rozwiła i prawdziwy świat nabrał kształtów. Byłem w medice. Białe ściany, biały sufit, biała podłoga. Zbyt czysto. Leżałem w otwartej skrzyni przenośnego żłobka do fugi, który ktoś przeniósł tutaj i umieścił na stole laboratorium. Obróciłem głowę i zauważyłem, że Gibson zniknął. Halucynacja? Wizja sprowokowana niewątpliwie tym, że wciąż żyła we mnie część umysłu, która przemawiała głosem Gibsona.

Dwanaście lat od Emesh.

– Jesteśmy na *Faraonie*. – Wszystko mi się przypomniało. Przejęliśmy ten statek na Pharos i zabraliśmy go po całej tej sprawie z Normanami i admirałem Whentem, po tym, jak Bordelon nas zdradził. Zostaliśmy wynajęci – razem z kompanią Bordelona – aby wesprzeć bojowników o wolność walczących o obalenie dyktatury Mariusa Whenta, a wszystko to tylko w celu uwiarygodnienia naszej roli jako najemników poszukujących Vorgossos. Ale Bordelon nas zdradził i musieliśmy wywalczyć sobie drogę odwrotu. Marius Whent został zmuszony do kapitulacji. Emil Bordelon został zabity, bo jego z kolei zdradzili własni żołnierze, a zrobili to, bo złożyłem im ofertę nie do odrzucenia.

Kobieta stojąca przy moim łóżku, Normanka o skórze w kolorze atramentu, z kręconymi, sztywnymi jak stal włosami, skinęła lekko głową.

– Tak. A wiesz, kim jestem?

Miała na sobie przylegający do ciała mundur polowy w kolorze burgunda. Uniform. Mój uniform, który sam zaprojektowałem, o kieszeniach z klapami i rękawach z wypustkami.

– Doktor Okoyo – powiedziałem. – Nie sądzę, żebym miał jakieś krio-parzenie. – Spróbowałem usiąść, nagle uświadamiając sobie, jak Adam, własną nagość.

– Nie ruszaj się, lordzie Marlowe. – Popchnęła mnie delikatnie, lecz stanowczo, ponownie do pozycji leżącej. – Jeszcze nie wyciągnęłam z ciebie całego TX9.

Odwrociłem głowę i ujrzałem zwisające ze stojaka nade mną woreczki z krwią. AB plus. Z drugiej strony zauważyłem pojemnik, do którego skapywał z moich żył odporny na zamrożenie środek chemiczny. Był ciemnobłękitny, a w ostrym białym świetle wydawał się niemal czarny. Po chwili powiedziałem:

– Mogłaś mnie spokojnie powierzyć medtechowi.

Okoyo prychnęła.

– Komodor Lin obdarłby mnie ze skóry, a wy z Imperium podobno naprawdę robicie takie rzeczy.

– Punkt dla ciebie – ustąpiłem. – Ale ty nie musisz się niczego obawiać z naszej strony.

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu, podczas gdy lekarka zajmowała się diagnostycznym terminalem, a ja udawałem, że nie jestem goły i świadomy tego stanu. Spróbowałem uporządkować swoje wizje. Wybudzenie z fugi nigdy nie jest łatwe. Ludzie, którzy porzucili mnie na Emesh,

wpompowali we mnie dostatecznie wiele krwi, żeby uniknąć oskarżenia o morderstwo, a ja byłem nieprzytomny podczas tego zabiegu, ale od tamtego czasu za każdym razem przechodziłem przez labirynty pamięci i dziwnych głosów, zanim znalazłem się w spokojnym świecie. Mózg, jak powiadają, jest nadaktywny, powracając do świadomości. To jak umieranie, pomyślałem, bo w fudze procesy życiowe zostają zawieszane niczym w formaldehydzie i daje się to porównać ze śmiercią. Nie różniłem się wiele od nieboszczyka albo porcji mięsa w zamrażarce.

Myliłem się oczywiście. Bo to w niczym nie przypomina śmierci. W niczym.

– Jaka jest standardowa data?

– Szesnaście dwa dziewiętnaście kropka jeden-jeden. – Lekarka nie odwróciła głowy.

Listopad, pomyślałem. 16219 rok naszego Imperium. Od wylotu z Emesh upłynęło czterdzieści osiem lat, choć przeżyłem świadomie tylko dwanaście z nich. Czterdzieści osiem lat udawania, że jesteście naszymi. Czterdzieści osiem lat wolności od hrabiego Mataro i jego planu wydania za mnie córki. Czterdzieści osiem lat od specjalnego poboru do Legionów Słońca.

Czterdzieści osiem lat wojny więcej. Morderczej, ludobójczej Krucjaty przeciwko Cielcinom, ksenobitom, którzy piją ludzką krew i polują na naszych ludzi jak wilki na owce. Czterdzieści osiem lat poszukiwania Vorgossos i transportowania cielcińskich jeńców w nadziei na pertrakcje. Na pokój.

– Są jakieś wieści? – zapytałem, siadając tak prędko, żeby lekarka nie mogła mnie powstrzymać. Kręciło mi się w głowie, więc złapałem za twarde brzegi żłobka. Po chwili zawroty głowy się uspokoiły, a ja zgarnąłem na siebie złożony obok płaszcz kąpielowy. – Otrzymaliśmy jakieś namiary na tego handlarza bronią, o którym mówili piraci na Sanorze? – Lekarka odwróciła się, słysząc, że się poruszyłem, i rzuciła się ku mnie. Jej głos był zduszony, spróbowała położyć mnie znowu, ale uniosłem rękę i powstrzymałem ją. – Tylko próbuję się przykryć.

Okoyo spojrzała na mnie gniewnie.

– Próbujesz stracić przytomność, lordzie Marlowe.

– W porządku – odmruknąłem słabym głosem. – W porządku.

Otoczyła ręką moje ramiona, a ja zdołałem jedynie wcisnąć sobie szlafrok między nogi, ale to wystarczyło. Całą moją uwagę pochłonęło

oddychanie, zdławione i wilgotne. Nagle zwinąłem się, pochyliłem nad pojemnikiem z ciecżą i wykaszałem kulkę fioletowego płynu, który za-  
legł w moich płucach.

– Jeszcze nie czujesz się dobrze – powiedziała Okoyo. – Przez ostat-  
nie sześć lat byłeś przecież kostką lodu.

– Sześć lat? – zapytałem zaskoczony. Nie zdążyłem jeszcze policzyć. –  
Gdzie jesteście?

Lekarka potrząsnęła głową.

– Lepiej zostawmy to komodorowi, lordzie.



Bassander Lin wyglądał na starszego, niż zapamiętałem, i zastanawiałem się, ile z minionego czasu podróży drażliwy kapitan spędził na jawie. Powiedziałem kapitan, bo rzeczywiście nim właśnie był. Rola komodora była maską, przykrywką, podobnie jak moja rola lorda komendanta. Zmiana w nim była subtelna: żadnych zmarszczek wokół oczu i ust, żadnej siwizny na skroniach. W końcu jednak Lin był patrycjuszem, ciemnoskórym Mandari ze starej rodziny, a jego krew była niemal równie szlachetna jak moja. Jedyna zmiana zaszła w jego czarnych oczach. Coś w nich stwardniało, a wolno działający jad, obecny w naszej długiej relacji, przybrał bursztynowy odcień, skryształizował się. Jego kwatery na pokładzie *Faraona* należały przedtem do normańskiego komodora Emila Bordelona, a Bassander Lin wraz ze mną włożył wiele wysiłku, aby usunąć z tych pomieszczeń wszelkie ślady poprzednika. Pornograficzne dzieła sztuki zniknęły, zdobione ramy usunięto, podobnie jak dywany. Wciąż widać było znaki na podłodze, gdzie stało zbyt wielkie łóże komodora, zastąpione teraz prostym żołnierskim łóżkiem polowym. Nie było na nim żadnych koców.

– Dobrze się spało? – zapytał, zerkając znad biurka. – Okoyo wystawiła ci doskonałe świadectwo zdrowia, komendancie. – Miał irytującą manierę odpowiadania na własne pytania. Nie odezwałem się i opadłem na swój fotel, nie czując się zbyt komfortowo w karmazynowym mundurze. Bassander ubrany był tak samo, ale do niego wysoki kołnierz i symbole wojskowej rangi pasowały doskonale. Ja przynajmniej nie musiałem nosić takich odznak, poza jednym okrągłym znakiem na wzór pieczęci, który sam zaprojektowałem, wyszytym złotą nicią na lewym ramieniu. Bassander bawił się stojącym na biurku ciężkim kubkiem, nie patrząc na mnie. – Ta kobieta, Corvo, uważa, że znalazła tamtego gościa.

Usiadłem prosto i pochyliłem się nad biurkiem. Kamienne spojrzenie Lina błędziło teraz po mojej twarzy. Pociągnął z kubka łyk.

– Malowanego Człowieka? – spytałem. Tak nazywali go sanorańscy piraci.

Kapitan pokręcił głową, wstał i odwrócił się do mnie plecami.

– Jakiegoś typa zwanego Samirem. Pracuje dla Malowanego Człowieka, a przynajmniej Corvo tak twierdzi. – Lin zbudowany był jak rapier, cienki jak szyna, o wąskich ramionach. Stał na tle holograficznej płyty ukazującej mozaikę elementów zabezpieczeń we wnętrzu *Faraona*. – Wysłała na planetę jednego ze swoich poruczników. Nawiązał kontakt.

– Czyli mamy Vorgossos? – zapytałem.

Bassander nie poruszył się, poza przesunięciem obrazów na holograficznej płycie, na której ukazały się teraz inne części statku.

– Nie. – Oparł dłonie na biodrach, a ja zauważyłem przypasany tam miecz z wyższej materii. Należał przedtem do admirała Mariusa Whenta. Konfrontacja z nim na Pharos niemal kosztowała nas życie. – Wysłaniec Corvo twierdzi, że Samir jest tylko lokalnym typem, który zastępuje tam tego Extrasolarianina.

– Powinniśmy zaaranżować jakieś spotkanie...

– Na to wygląda. – Kapitan wzruszył ramionami i przeciągnął dłonią po włosach o barwie dymu. – Nie byłby to żaden problem, gdybyśmy mieli tu ludzi z 437. Legionu, ale z tą bandą nieudaczników... to chyba żart.

W każdym razie nie mogliśmy liczyć na żadne posiłki. Były tysiące lat świetlnych i całe dekady rzeczywistego czasu stąd.

– To, że stanowimy tu front, Bassandrze – powiedziałem, rozmyślnie pomijając imię – nie oznacza, że jesteśmy jakimś żartem.

Bassander Lin wy dobył z siebie cichy, lekceważący, gardłowy odgłos i z powrotem zapatrzył się w swoje ekrany.

– Tych Normanów, których zabrałeś, jest sześć razy więcej niż nas, jakby te twoje szczury z Kolosso nie były już wystarczająco kiepskie.

Musiałem wziąć głęboki oddech, aby powstrzymać się przed rzuca- niem w niego własnym kubkiem. Zamiast tego skrzyżowałem ramiona na piersiach.

– Potrzebowaliśmy wzmocnienia.

– Potrzebowaliśmy żołnierzy.

– Oni są żołnierzami.



– Federatami! – Bassander w końcu się odwrócił. – Są lojalni, dopóki im płacimy. Zwrócą się przeciwko nam, gdy tylko zwietrzą lepszą ofertę.

– No to nie pozwolimy im dostać lepszej oferty. – Teraz ja z kolei prychnąłem pogardliwie. – Płacimy im o połowę więcej niż Bordelon.

– To nie znaczy, że lepsza oferta się nie pojawi. Nie ufam im. Nie ufam Corvo. Pracują, bo na razie otrzymują stałą zapłatę.

– Czy zawsze tak będzie? – zapytałem, chowając twarz w dłoniach. W głowie mi dudniło. Zdecydowanie za szybko wyszedłem z mediki. – Imperium. Za nami stoją Legiony. Corvo o tym wie. Czerwona Kompania z Meidui...

– Czerwona Kompania z Meidui. – Uśmiechnął się drwiąco Bassander, kręcąc głową, po czym rozsiadł się na powrót w starym fotelu komodora Bordelona. – Chcesz wiedzieć, czym ona jest? Dla mnie?

Ucisnąłem palcami powieki i usiłowałem odzyskać jasność myśli.

– Trybunka powierzyła nam misję, mamy znaleźć Cielcinów i spróbować...

– To zadanie wygląda raczej na karę. Posłała mnie z tobą i twoimi nieudacznikami i tylko jedna Ziemia wie dlaczego...

Zmrużyłem oczy.

– Jak długo nie spałeś? – Mówił jak człowiek zbyt długo pozostający sam, zdany tylko na siebie, jakby tysiąc razy ćwiczył tę rozmowę w pustych korytarzach *Faraona*, podczas gdy wszyscy byli uśpieni. Bassander najwyraźniej usłyszał moje pytanie, lecz nie odpowiedział. Spojrzał spode łba, pozwalając mi zadać następne: – Chcesz zatem, żebym to ja wyprawił się na powierzchnię planety? Odszukał Samira? Odnalazł tego Malowanego Człowieka?

Komodor, który w rzeczywistości był kapitanem, zmarszczył brwi.

– Po prostu chcę, żebyś trzymał Corvo krótko. Jak powiedziałem: nie ufam jej.

– Jest z nami już od siedemnastu standardowych lat – odparłem. – Oddałem jej dowództwo *Mistrala*. – Spojrzawszy ponownie na Bassandra, uniosłem ręce i poprawiłem się: – Oddaliśmy jej dowództwo *Mistrala*. Dobrze wykonuje swoją pracę.

Ottavia Corvo była przedtem trzecim oficerem Bordelona na *Faraonie* i sądząc po tym, jak łatwo zwróciła się przeciwko swemu przełożonemu, jego sposób traktowania oficerów pozostawiał wiele do życzenia. A jednak

nie mogłem powiedzieć, że niepokój Bassandra był dla mnie niezrozumiały. Mimo woli błądziłem spojrzeniem po froncie biurka, gdzie splecione reliefy nimf i satyrów wiły się w wysoce nieprofesjonalnej ekstazie.

Bassander pociągnął z kubka długi łyk.

– Ja tylko... chciałem, żebyś miał to na uwadze.

Poczułem, że się uśmiecham, choć wiedziałem, że uśmiech nie objął moich oczu.

– To miło, że tak to ująłeś.

Lin odchrząknął.

– Przecież nie chcę, żebyś prowadził kolejną grupę na krwawą wyprawę. Nie po Pharos. Niemal cię wtedy straciliśmy, a razem z tobą kapitan Azhar. A ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuję, jest niezadowolenie Jaddyjczyków po utracie ich przedstawicielki.

– Ktoś ważny z kompanii musi jednak nawiązać kontakt z Extrasolarianinem, z tym Malowanym Człowiekiem. Nie możemy wysłać Corvo, a ja nie posłę też Jinan. – Kiedy Bassander spojrział na mnie, najwyraźniej zamierzając mi przerwać, dodałem: – Żadna z nich nie reprezentuje Imperium, Bassandrze. To wyklucza Corvo i Jinan, a także Valkę. Pozostajemy ty i ja, a nie możemy posłać ciebie. Czyli to muszę być ja. – Milczenie drgało między nami jak ryba wyrzucona na piasek. – Wciąż jednak nie wiemy wszystkiego. Człowiek od Corvo coś jeszcze ustala, prawda?

– Dał do zrozumienia, że szukamy broni... atomiki i antymaterii, takich tam rzeczy.

– Daimonów? – rzuciłem, nie mogąc się powstrzymać.

– Co? – Bassander nagle otworzył szeroko oczy. – Na Boga i Imperatora, nie!

Rozumiałem jego antypatię. Sam byłem synem Imperium, wychowanym w długim cieniu Mericanii, których niehumanitarne porozumienie ze sztuczną inteligencją wytraciło niemal całą ludzkość w dniach przed powstaniem Imperium. Spodziewałem się już, że Bassander udzieli mi reprimendy i oskarży o herezję, ale on tylko zgrzytnął zębami. Wzruszyłem ramionami.

– Mówię jedynie, że przybywamy do Extrasolarian. Nie możemy prosić raptem o skrzynkę plazmowych miotaczy – odrzekłem.

– Co w słowie „atomika” skłoniło cię do pomyślenia o „plazmowych miotaczach”? – Powiedziawszy to, wznosił oczy, jakby szukał tam jakiegoś boga, który obdarzy go cierpliwością.

Zbyłem to lekceważącym gestem.

– Chcesz, żebym poprowadził tę grupę, czy nie?

– Nie, nie chcę. – Bassander odchylił się w wielkim fotelu. – Ale minęło już prawie pięćdziesiąt lat, odkąd opuściliśmy Emesh, Marlowe. Pięćdziesiąt lat. Wiesz, ile kolonii zmiotli Cielcinowie od czasu, gdy wyruszyliśmy na tę twoją śmieszoną wyprawę?

– Trybunka Smythe zgodziła się, że...

– Trzynaście – przerwał mi Bassander. – Trzynaście, Marlowe. – Wyrzucał z siebie nazwy: Bannatia, Lycia, Idun... – Kładę się do fugi, a kiedy się budzę, zawsze widzę jakąś nową na liście. Miliony zabitych. Za każdym razem. A ja nie zrobiłem nic, żeby to powstrzymać. – Z każdym wypowiedzanym słowem mówił głośniej, a skończył, niemal krzycząc.

Musiałem siłą woli się powstrzymać, żeby nie wstać.

– A co twoim zdaniem robimy?

– Tracimy czas! – rzucił. – Mam właśnie nową zbiorczą wiadomość z telegrafu, na imię Ziemi! Nowy atak, Marlowe... i sam już nie wiem, jak tragiczny.

– Jeżeli uda się nam zawrzeć pokój z przynajmniej jednym cielcińskim klanem, zmienimy oblicze tej wojny bardziej niż jakkolwiek bitwa. – Wstałem teraz, obciągając brzegi krótkiego żakietu. – Czy ci się to podoba, czy nie, muszę wziąć udział w tej wyprawie.

Bassander tylko skinął głową, pocierając palcami nasadę nosa.

– Zapewne masz rację. Niech Ziemia mi wybaczy.

– Potrzebuję wahadłowca, żeby polecieć na *Balmunga* – powiedziałem, obracając się bezwiednie. – Mam jeszcze czas?

Kapitan w stroju komodora potarł w zamyśleniu szczękę, nie patrząc na mnie. Jaki malutki się wydawał w tym fotelu Bordelona, za wielkim biurkiem, przygnieciony brzemieniem tych lat, które spędziliśmy razem, i tych, które przeżył w samotności.

– Wciąż czekamy na powrót wysłannika Corvo. Mamy trochę czasu. – Kiedy odwróciłem się, żeby odejść, odezwał się: – Marlowe.

Zatrzymałem się.

– Tak, Lin? – Wróciłem do nazywania go po imieniu.

Nie wydaje się, żeby zauważył różnicę, jakby tego rodzaju drobiazgi nie miały dla niego żadnego znaczenia.

– Żarty żartami, ale prowadzimy operację wojskową. Nie jesteśmy służbą szoferską dla twojego haremu.

Poczułem wzbierającą wściekłość, jakby przeszył mnie prąd. Zgarbiłem się i zacisnąłem pięści. Opanowałem się i powiedziałem:

– Jedna kobieta raczej nie stanowi haremu, kapitanie.

Nie obejrzałem się za siebie, ale poczułem napięcie, jakie zawisło w powietrzu. K a p i t a n zabołał naszego komodora.



– Wszystko w porządku? – zapytał znajomy głos, gdy wyszedłem z kwatery Bassandra na spiżowy korytarz. Odwróciłem się i ujrzałem mego liktora stojącego na posterunku obok drzwi. Karmazynowy kompanijny mundur sprawiał wrażenie wymiętego, jakby jego właściciel przez długi czas opierał się o łukową wręgę. – Wyglądasz, jakby ktoś trenował na tobie sztuki walki.

– I tak się czuję, Wyłączniku – odparłem, przecierając oczy. – A Lin przez całe popołudnie był w uroczy sposób sobą.

– Aż tak źle? A w rzeczywistości mamy dopiero ranek – zauważył Wyłącznik, równając ze mną krok, gdy ruszyliśmy korytarzem, stukając obcasami o pokład.

– Naprawdę? – spytałem w osłupieniu. – A niech mnie Ciemność...

Minęliśmy dwójkę młodszych techników należących do grupy naszych Normanów, a na ich salut i gromkie „Marlowe’owie!” odpowiedzieliśmy uśmiechami i skinieniem ręki, co było połączone z takim wysiłkiem, że znów rozboleła mnie głowa.

Wyłącznik wcisnął kilka przycisków, żeby przywołać windę, i przez chwilę staliśmy przy drzwiach. Przez ten czas, który spędziłem w fudze, posunął się nieco w latach w porównaniu ze mną. Wokół jego oczu, zielonych z brunatnym odcieniem, pojawiły się kurze łapki, a w rudych włosach widać było tu i ówdzie słomkowe i srebrzyste pasemka. Twarz, którą sam oglądałem w lustrze, nie postarzała się od czasów Emesh ani o jeden dzień, podczas gdy twarz Wyłącznika nieco p r z y w i ę d ł a. Ja jednak urodziłem się w zamku, przyszedłem na świat zgodnie z planem i zamówieniem złożonym przez moich rodziców, których rola ograniczyła się do czekania. Każdy mój gen był doskonały, doskonalszy niż zwykły ludzki gen. Wyłącznik urodził się jako syn handlarza, w dzieciństwie został sprzedany na pokrycie długów, pracował jako służący na statkach kosmicznych, gdzie był wykorzystywany seksualnie, aż dorósł. Był niskiego pochodzenia, a jednak Los albo Szczęście dziwnym trafem sprawiły, że staliśmy teraz obok siebie jako przyjaciele.

– Wahadłowiec czeka w hangarze – powiedział Wylącznik, poprawiając włosy i mundur w słabym świetle drzwi windy. Otworzyły się z sykiem, a on uśmiechnął się z zakłopotaniem na widok legionisty w środku. Mężczyzna przepchnął się na zewnątrz, skinął mi głową, nie salutując, i ruszył korytarzem. – Kapitan Azhar posłała po mnie w tej samej minucie, gdy się dowiedziała, że Lin cię wysłała.

Zesztywniałem na wzmiankę o Jinan Azhar.

– I bardzo dobrze. Nie zostanę na tym statku ani minuty dłużej niż to konieczne.

Bassander przeniósł się na *Faraona*, gdy zabraliśmy ten statek po aferze na Pharos, i oznajmił, że teraz będzie okrętem flagowym naszej świeżo pomnożonej floty. Normankę Corvo przeniósł na *Mistrala*, mały uhrański statek przechwytyjący, który przejeźliśmy wraz z *Faraonem*. Naszą pierwotną jednostkę, stary wyremontowany niszczyciel *Balmung*, zostawił pod dowództwem naszej jaddyjskiej emisariuszki kapitan Jinan Azhar. Ufał jej oraz jej miedzianoskórym żołnierzom z Księstw Jaddyjskich. W końcu byli to zawodowcy, sami prawdziwi żołnierze związani honorową przysięgą złożoną Jego Wysokości Wielkiemu Księciu Aldii di Otranto, Pierwszemu Między Równymi wśród książąt na Jadd. Była jak sam Lin, a zarazem zupełnie od niego inna. Takim sposobem obsadziliśmy wszystkie dowódcze stanowiska na naszych trzech statkach. Jeden imperialny kapitan, jedna Jaddyjka i jedna normańska najemniczka wraz z oficerami pomniejszej rangi rozdzielonymi między statki w taki sposób, że każdy pilnował pozostałych, a Bassander pilnował ich wszystkich.

To dlatego musiałem się wyrwać z *Faraona*. Imperialni oficerowie raportowali Linowi, gdy tylko ruszyłem się ze swojej kwatery, ale przynajmniej na *Balmungu* nie mógł mnie obserwować przez kamery. Były też... inne powody. Przede wszystkim na *Balmungu* przebywali cielcińscy jeńcy. Duże żłobki do fugi, w których ich trzymaliśmy – z rodzaju tych, których używa się do transportu żywego inwentarza w podróżach między słońcami – nie mogły być przenoszone z jednego statku na drugi, tak więc Bassander pozostawił je pod pieczę Jinan, oddawszy jej dowództwo dawnego okrętu flagowego. Była tam też Valka Onderra, gdyż nie chciała przenosić sterty swoich papierów i kryształów z danymi ze studia, które urządziła sobie w dziale hydroponicznym. Przebywało tam także wielu moich przyjaciół: przede wszystkim Wylącznik. Poza tym Ghen i Pallino oraz kilku innych myrmidonów z okresu walk na arenie

na borosewskich Kolosso. Reszta była rozrzucona po równo między *Faraonem* i *Mistralem*. Ponadto była tam jeszcze Jinan, która tak poprawiała jałowy wizerunek flegmatycznego Bassandra, jak kwiat rosnący na piasku.

– Kiedy cię wybudzili? – zapytałem, masując sobie skronie.

Wyłącznik wsunął ręce do kieszeni.

– Około trzech tygodni temu. Zrobiła to Jinan, kiedy Corvo posłała Crima na powierzchnię.

– Crima, tak? – Pomyślałem o młodym normańskim poruczniku Karimie Garone. – To dobrze. Martwiłem się, że Lin mógł wysłać Soissona albo Dulię.

Wyłącznik wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Chyba tylko wtedy, gdyby chciał wzniecić nowy pożar.

Roześmialiśmy się obaj, czemu towarzyszył ciągły świst windy. *Faraon* był wyprodukowanym na Uhranie ogromnym statkiem. Miał dwie mile długości i sylwetkę o profilu przypominającym nóż: jego szerokość była większa od wysokości, przód był zaostroszony, mostek daleko na rufie, na szczycie wysokiej na dwieście pięćdziesiąt metrów stożkowej wieży. Kwatera Bassandra znajdowała się właśnie w niej, blisko mostka, ale my wsiedliśmy tuż za nią, przed miejscem, gdzie winda wjeżdżała do stumetrowego horyzontalnego szybu, aby zawieźć nas do dalszej części rufy. W tylnej części statku, gdzie *Faraon* się rozszerzał, aby pomieścić blok silnikowy, zamknięty w pierścieniu napędu do lotu w zakrzywieniu czasoprzestrzennym, znajdowały się też hangary dla rozmaitych wahadłowców oraz dwóch tuzinów lichtug typu Krogulec, które wykorzystywano do walk między statkami. Obserwowałem naszą trasę na ekranie terminala windy, na którym byliśmy małym czerwonym punkcikiem poruszającym się na niebieskim tle z podziałką.

Oparłszy głowę o ścianę nad ekranem, zapytałem:

– A jak tam Etienne? – Miałem na myśli normańskiego żołnierza, który był ostatnim na długiej liście kochanków Wyłącznika.

Milczał przez chwilę, po czym odpowiedział:

– To już skończone. Na szczęście on mieszka tutaj, a ja na *Balmungu*, więc wszystko jest w porządku.

– Przykro mi – powiedziałem.

– Mnie nie – odparł. – Zasłużył sobie na to. A co z tobą i tą kobietą?

Pomyślałem o komentarzu Bassandra na temat mojego haremu i spuściłem oczy.

– Dobrze. Wszystko dobrze.

Być może z szacunku dla mojej migreny, a może dlatego, że nie miał już nic więcej do powiedzenia, Wyłącznik zamilkł i przeszliśmy do kolejnej hali, przypominającej poprzednią, którą właśnie opuściliśmy, ale znacznie szerszej: kwadratowej, z zaokrąglonymi narożnikami, o żebrowych wspornikach rozstawionych mniej więcej co dziesięć metrów. Lampy diodowe wbudowane w strop lub wysoko w ściany świeciły ciągłym, niemrugającym światłem, gdy podążałem za Wyłącznikiem do wyjścia, mijając trzech legionistów w mundurach koloru burgunda. Nie zauważyłem, czy mi salutowali.

Wahadłowce wisiały zadokowane w otwartych stanowiskach pod *Faraonem* jak ryby podnawki przyssane do wielkiego rekina. Wchodziło się do nich specjalnie umocowanymi trapami i szczelnymi rękawami pełniącymi funkcję służy. Wyłącznik ruszył pierwszy, jak każe protokół, i sprawdził wahadłowiec. Na pokładzie nie było nikogo poza pilotującym oficerem, młodym Normaninem o oliwkowej skórze i jasnych włosach. Wyłącznik zajął miejsce za nim – twarzą do mnie – a ja opadłem na kanapę z tyłu. Po raz pierwszy od przebudzenia mogłem popatrzeć na zewnątrz przez aluminiowe okna.

– Wyłączam pole grawitacyjne – powiedział pilot i chwilę później sztuczna grawitacja zanikła, a ja zacząłem się unosić na uwięzi z pasów. Wrażenie nie należało do przyjemnych, bo wciąż dokuczało mi zmęczenie i czułem lekkie mdłości po fudze. Wyłącznik przyglądał się uważnie swoim dłoniom. Głośny metaliczny odgłos przebiegł przez kadłub wokół nas. – To separacja od trapu.

Reszta technicznych uwag pilota umknęła mi, gdy spłynęliśmy, wypadając z *Faraona* w mrok. Gdy ustabilizowaliśmy lot ciemnej masy metalu i znaleźliśmy się w otwartej przestrzeni, spostrzegłem poprzecinany płamami chmur bursztynowy dysk planety Rustam. Jeszcze niedawno była ona imperialną kolonią. Teraz nie była... niczym. Przez okno zauważyłem ciemną bliznę na powierzchni jednego kontynentu, bardzo blisko terminatora, gdzie Cielcinowie zmiotli z powierzchni planety całe miasto, zostawiając tylko dziurę w skale.

Przełknąłem ślinę i na chwilę zapomniałem o bólu głowy. Wcześniej rzadko zdarzało mi się widzieć coś tak okropnego, a i w późniejszym czasie nieczęsto. Wiedząc, że Wyłącznik mnie obserwuje, spuściłem głowę.

– Unicestwili kompletnie cały palatyński ród – powiedział – i cały rząd, mniej więcej dziesięć lat temu. Nowe miasto powstało po drugiej stronie, teraz go nie widać.

– Ilu?

– Zginęło? – zapytał Wyłącznik. – Nie wiadomo dokładnie. Lin szacuje, że około dwóch milionów. Ocalało z grubsza dwa razy tyle.

Wyrzałem znowu. Czarna ruina była jak zmrużone oko patrzące prosto na mnie. Przeze mnie, na wskroś.

– Może Lin ma rację. Za długo zwlekamy.

– Nie mogłeś tego powstrzymać.

– Nie – odparłem. – Ale mogliśmy nie dopuścić, by to się powtórzyło. – Kłamstwo. Obaj to wiedzieliśmy. W czasie, gdy rozmawialiśmy, w jakimś punkcie Normañskich Posiadłości Cielcinowie palili kolejny świat.

Zamknąłem oczy, by nie patrzeć w Ciemność, i znalazłem ciemność jeszcze mroczniejszą.